

Berezowski, Stanisław

Spotkania z Płockiem

Notatki Płockie 24/1-98, 43-46

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Spotkania z Płockiem

„Z Tumskiej
spoglądam góry...”

Władysław Broniewski

W czasie naszych wędrówek czy podróży mamy niekiedy możność własnymi oczyma „widzieć geografie”, patrzeć na rzeczywistość mapy. I chyba są to najbardziej autentyczne i najsilniejsze przeżycia naszych podróży. Wiele prawdziwego szczęścia daje nam ten bezpośredni kontakt ze światem, kontakt z jego prawdą i pięknem.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie przeżycie takiej swoście podniosłej chwili w 1947 roku, gdy siedziałem na tarasie kawiarni Pałacu Nar dów w Genewie. Z tego gmachu miałem wid k miasta, za nim szaro-niebieską taflę Jeziora Genewskiego, a na horyzoncie rozległą panoramę ośnieżonych Alp, zwieńczoną wyniosłą sylwetą Mont Blanc. Wszystko to jak na mapie. Toteż, gdy wtedy prowadziłem w przyjaznym tonie jedną ze służbowych rozmów ze starszym ode mnie doświadczonym dyplomata, kolegą czeskim, raz po raz uciekałem wzrokiem ku tej autentycznej geografii. Urokowi jej uległ też i mój rozmówca i po chwili gawędziliśmy już na temat tego niezapomnianego widoku.

Innym razem, w innej stronie Europy, w czasie wizyty w Bułgarii w 1953 roku, znalazłem się któregoś wieczoru na jednym z najwyższych wzgórz starej dzielnicy Płowdiw. Widziałem otaczającą miasto rolniczą Nizinę Tracką, a za nią na południu masywy Rodopów i na północy sylwetki grzbietów Starej Planiny. Towarzysz mój, bułgarski kartograf, wyciągnął mapę aby zidentyfikować ważniejsze szczyty na horyzoncie. Muszę jednak przyznać, że bardziej fascynował mnie świat rzeczywisty, aniżeli jego obraz na mapie.

Geografię widzimy często z okien samolotów i chyba każdy podróżujący ma wspomnienie tych widoków z góry, skąd świat jest szczególnie piękny. Pamięta się przelot nad Zatoką Gdańską, nad skrawkiem ponurymi chmurami przykrytej Grenlandii, czy nad ośnieżonym morzem gór Kaukazu Środkowego, czy też gdy widać jak z kotlin Podhala i Spiżu ku niebu biegną wierchy Tatr Wysokich. Wszakże to przecież osobny temat do wspomnień z podróży lotniczych.

Ala i na Mazowszu można też przeżyć podobne chwile zachwytu nad pięknem świata. Tym razem subtelnej piękna niziny, zda się, że **przecież** banalnej, płaskiej. A jednak!

Mnie urzekł jeszcze przed wojną poznany, a niedawno głębiej odczuty i zrozumiany widok ze skarpy wiślanej w Płocku. Z tej wyniosłości wśród niziny, którą Władysław Broniewski — sam przecież płoczanin, obywatel honorowy tego miasta i członek honorowy Towarzystwa Naukowego Płockiego — nazwał w swym poemacie o Mazowszu „Tumską Górą”. Mówi się o niej również „Wzgórze Zamkowe”, tak jak to czyni dr inż. Jakub Chojnacki, obecny prezes Towarzystwa Naukowego Płockiego, w swej najlepszej chyba książce o Petrochemii i Płocku w ogóle*). Rzeczywiście strzeliste wieże tumu — katedry płockiej tudzież kopulaste zwieńczenie bloku zamkowego stanowią charakterystyczne elementy panoramy Płocka oglądanej z przeciwnego brzegu Wisły. Na rozległej nizinie za szeroko płynącą rzeką, pod wielkim bezmiarem nieba, jakże zmiennym w różnych chwilach dnia i porach roku, widzimy niebo i ziemię zagospodarowaną osadnictwem dzielnicy Radziwia z drugiej strony rzeki i lasami w jej pradolinie oraz polami falującego żyta, zielonego wiosną a szaro-płowego latem.

Po raz pierwszy na skarpie płockiej stanąłem latem 1934 r. w czasie wycieczki XIV Międzynarodowego Kongresu Geograficznego, odbywającego się wówczas w Warszawie. Dla mnie, zupełnie „świeżo upieczonego” magistra był to pierwszy, bierny oczywiście występ na forum nauki światowej, oraz pierwszy kontakt z Mazowszem.

Wtedy wycieczkę do Płocka prowadzili geografowie prof. Limanowski i prof. Lencewicz. Wśród paru moich zdjęć, jakie do dziś z tej wycieczki dziwnym trafem ocalały, na jednym widać prof. Lencewicza jak z tarasu kawiarni, właśnie na skarpie objaśnia uczestnikom wycieczki szczegóły naukowe tej rozległej Niziny Mazowieckiej. Na drugim uchwyciłem barki przycumowane pod skarpią. Gdy teraz patrzę na to zdjęcie, to zauważam na brzegu furmanki konne czymś załadowane i w tym widzę historię przewozów. Wtedy bowiem transport odbywał się w relacji furmanka — barka —

*) J. Chojnacki: Petrochemia a rozwój Płocka. Wyd. II Płock 1977.

furmanka. Dziś wyraża się to układem: samochód — barka — samochód, no i odbywa się to po przeciwnym lewym brzegu Wisły w porcie Radziwie, podczas gdy tu — pod skarpą są teraz ośrodki sportowe, amfiteatr i nabrzeże spacerowe.

Drugi raz do Płocka przyjechałem już po wojnie i to dopiero w latach sześćdziesiątych. Celem przyjazdu były sesje naukowe i specjalne wyjazdy ekspertów organizowane przez Radę Naukową Techniczno-Ekonomiczną przy Prezydium Rady Narodowej Województwa Warszawskiego, często wspólnie z Towarzystwem Naukowym Płockim. Sesje takie przeprowadzane były również w innych większych miastach Mazowsza. Wszelako do Płocka przyjeżdżałem szczególnie chętnie. Specjalną satysfakcję sprawiało mi wejście w kulturalną atmosferę tego piastowskiego miasta i właśnie wtedy przemówił do mnie silniej ten niecodzienny urok panoramy z wyniosłości skarpy płockiej.



Nad skarpą wznosi się okazała bryła Zamku Książąt Mazowieckich i wieżycę Katedry

Ja, który dotychczas emocjonowałem się krajobrazem dzikim i dramatycznym Tatr, zauważyłem w Płocku jakże inne piękno. Piękno spokojne, ale jednocześnie jak poważne i głębokie a przy tym tak bardzo polskie. Tu jak w soczewce powiększającej skupia się urok Niżu Polskiego, który w krzątaninie dnia powszedniego często uchodzi naszej uwadze. Przeważnie w czasie bytności w Płocku, w przerwie obrad lub po ich zakończeniu, wybiegałem nad skarpę aby zobaczyć jak danego dnia widać z niej ów przestwór Mazowsza. Jak błękitne jest nad nim niebo, jak wędrują po nim obłoki, jak daleka jest widoczność.

Szczególnie wspominam mazowiecką sesję naukową w okresie obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego, odbytą w roku 1962, czyli w roku Ziemi Mazowieckiej. Sesję tę, specjal-

nie uroczystą, zaszczylił swą obecnością ówczesny Przewodniczący Rady Państwa i jednocześnie Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu Aleksander Zawadzki. Wtedy zetknąłem się z nim po raz pierwszy i jedyny właśnie na skarpie płockiej i to dosłownie. Pamiętam ten ciepły wieczór czerwcowy, na tarasie tamtejszego schroniska PTTK, którego nowoczesny, niski budynek tak estetycznie urozmaica tę zabytkową „linię nieba” koronując wyniosłość skarpy. Poznałem Aleksandra Zawadzkiego jako człowieka prostego, skromnego, rozmawiającego z nami w sposób bezpośredni o sprawach codziennych, o widoku na drugą stronę Wisły, o odbywającym się u dołu na estradzie amfiteatru występie zespołu regionalnego. Tak samo przemawiał o sprawach ważnych, nazajutrz na inauguracji naszej sesji naukowej.

Ze skarpą płocką łączy się również w moich wspomnieniach droga mi osoba mego przyjaciela Olafa, to znaczy prof. Jana Chmielewskiego, prekursora planowania przestrzennego w Polsce jeszcze w okresie międzywojennym. To z nim przeżywałem tu właśnie na promenadzie nad skarpą narodziny płockiej petrochemii. Pamiętam jak po pierwszej naszej wizycie w roku 1959 na terenie budowy tego kombinatu, gdzie na ściernisku żyta kopano pierwszą studnię i stawiano pierwsze ogrodzenia, usiedliśmy na ławce tej promenady. Dyskutowaliśmy lokalizację tych zakładów. Olaf lansował wariant lokalizacyjny na lewym brzegu Wisły, w dość dużej odległości od zabudowy Radziwia, na terenie, który pokazał mi właśnie ze skarpy. Byłoby to lepiej — jak twierdził — i ze względu na ogólny układ wiatrów i na należyte odizolowanie kombinatu od miasta Płocka, z uwagi na konieczność wyeliminowania złych wpływów na środowisko geograficzne, choćby w sytuacjach awaryjnych. Toteż, gdy dziś patrzę ze skarpy na południe — od razu kojarzy mi się z tym widokiem ten ważny problem planu urbanistycznego Płocka.

Przypomina mi się także druga wizyta z Olafem na terenie kombinatu, w chwili gdy jego pierwsze budowle wychodziły fundamentami z ziemi w pustych jeszcze polach szachownic już wyasfaltowanych ulic rodzącego się giganta. Gdy chwilę potem patrzyliśmy na makietę tych przyszłych zakładów, Olaf zadał pytanie: „A gdzie są tu powiązania z Wisłą?” Powiedziano nam, że poza spływem ścieków obniżeniem małej rzeczki niczego wówczas się nie przewidywało. Transport oparty miał być na rurociągach — objaśniano nam następnie, a Olaf szukał miejsca na port petrochemii, gdyż widział konieczność wykorzystania także i drogi wodnej. No cóż, w latach sześćdziesiątych Wisłę odkryli polscy ekonomiści jako ściek kanalizacyjny przemysłu. Dopiero realizacja planu zagospodarowania tej rzeki

w latach osiemdziesiątych uwszechstronni funkcje przewozowe portu płockiego.

A potem w roku 1975 miałem możliwość pokazania Płocka mojemu koledze czeskiemu dr Ladislawowi Skokanowi, geografowi z praskiej Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Bawił on w naszej Uczelni w ramach wymiany kulturalnej przez 2 tygodnie i bardzo rad byłem, że mogłem go zawieźć na Konferencję Towarzystwa Naukowego Płockiego, odbywającą się w sali posiedzeń jego zabytkowej siedziby na bezpośrednim zapleczu właśnie samej skarpy. Wówczas wraz z uczestnikami konferencji zwiedziliśmy fabrykę maszyn żniwnych i wtedy po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć się kombajnom „Bizon”, ustawionym zaraz po ich wyprodukowaniu w długim szeregu, w oczekiwaniu na próbne jazdy.

Przed wieczorem i odjazdem poszliśmy na skarpe. Mojemu koledze czeskiemu pokazałem pomnik prof. Ludwika Krzywickiego, który ustawiony już był na promenadzie, a potem patrzyliśmy z wyniosłości na Mazowsze. Pamiętam, że wtedy szczególnie fantastyczne szaro-białe kłęby kumulusów zdobiły niebo. Towarzyszowi mojemu zwróciłem uwagę, że przecież nie tak dawno podobny widok pokazywał mi on w Czechach, w Mielniku z wysokiego brzegu Łaby, spod tamtejszego pomnika generała Świerczewskiego, który tam walczył o wyzwolenie Czechosłowacji. I tam również było widać kawał geografii, bo można obserwować jak właśnie w tym miejscu Wełtawa wpada do Łaby. Jednak widok ze skarpy płockiej jest piękniejszy w swej ogromnej prostocie swoistego krajobrazu.

A następnym razem była późna jesień i typowa pogoda grudniowego, przenikliwego, wilgotnego chłodu 1977 roku. Zimno było mi także i dlatego, gdyż nad psychiką moją ciążył smutek rozstania na zawsze z moją matką Julią Giżycką-Berezowską. W rok po jej śmierci udało mi się, dzięki życzliwości dyrektora Muzeum Mazowieckiego w Płocku doprowadzić do skutku jej wystawę pośmiertną. Miałem kontakty z ludźmi z Płocka, a ponadto Muzeum tamtejsze specjalizuje się w sztuce secesyjnej, a moja matka właśnie w tym okresie rozpoczęła swą karierę artystyczną i jej sztuka zawiera liczne elementy tego stylu. Ponadto rodzina jej pochodziła z Mazowsza, z Giżyc między Sochaczewem a Płockiem.

Wystawa jej otwarta była przez cały grudeń i w tym miesiącu po raz wtóry (bo oczywiście byłem na jej otwarciu) pojechałem do Płocka z córką Moniką, aby i ona wystawę tę zobaczyła. Wieczorem przed odjazdem poszliśmy nad skarpe. Było pochmurno i ciemno, wiał przenikliwy zimny wiatr. Była taka pogoda, w czasie której — jak to mówią — „śnieg wisi w powietrzu”. Wisła po ciemku wydawała się

jeszcze większą rzeką, a jej lewy brzeg wytyczał rząd nikłych świateł. Właściwie niewiele było widać i tylko wzrokiem wyobraźni dokomponowywałem sobie położenie portu ze stoczną, wysokiego silosu na zboże i w oddali zwykle ciemniejszych połaci lasów. I psychicznie i krajobrazowo bardzo smutno było wtedy na świecie.



Pozornie monotony widok na Nizinę Mazowiecką urozmaica sylwetka spichlerza na zboże

W niecały rok potem słońce jasno świeciło nad Wisłą, skarpeą i Płockiem. Znowu był czerwiec i rok 1978, kiedy to odbywaliśmy w Szkole Głównej Planowania i Statystyki kolejne polsko-francuskie seminarium ekonomiczne. Postanowiliśmy naszym kolegom z Paryża pokazać właśnie Płock. Prowadząc tę wycieczkę pragnąłem nie tylko zapoznać ich z problemami ekonomicznymi Petrochemii, nie tylko z Towarzystwem Naukowym Płockim, ale chciałem też z wyniosłości skarpy, razem z nimi spod pomnika Ludwika Krzywickiego, popatrzeć w słoneczną dal Mazowsza. Oni po raz pierwszy, ale ja po raz któryś tam kolejny wchłanialiśmy oczyma piękną rozległość Mazowsza, pełną tej wiosny tak bujnej zieleni, pełną światła i pełną wody, lśniącej falami Wisły. Jednak była to krótka chwila, bo dużo jeszcze należało zobaczyć. Koledzy francuscy chcieli choć pobieżnie zwiedzić ekspozycję secesji w tutejszym Muzeum, zobaczyć Katedrę i bardzo ciekawę zbiory muzeum diecezjalnego. A więc pełne oczy zwiedzania, boć przecież niewielu z nich przyjedzie tu powtórnie. A dłużej zostać nie było można, bo wieczorem dnia tego czekał nas jeszcze koncert w Żelazowej Woli.

Słuchając tam muzyki Chopina, raz jeszcze podsumowywałem sobie moje liczne wizyty w Płocku, w jakże różnych okolicznościach. Znałem przecież to miasto, gdy liczyło ono mniej niż 40 tys. mieszkańców. Patrzyłem potem na jego skok rozwoju. Widziałem jak powstawały nowe dzielnice mieszkaniowe, jak rosła Petrochemia, jak powstał budynek teatru i nowoczesny szpital (wreszcie!), a kolegom ekonomistom francuskim mogłem już powiedzieć, że zwiedzają miasto 100-tysięczne.

Wśród tych wspomnień płockich często powraca mi osoba Tadeusza Gierzyńskiego. Osoba jakże silnie z tym miastem związana i jak bardzo dlań zasłużona. Wielki społecznik, działający na kilku frontach, zwłaszcza regionalizmu płockiego. Był przede wszystkim radnym i posłem. Przeszedł w tej dziedzinie swej niestrudzonej aktywności pełną karierę, od radnego miasta Płocka od roku 1945, przez członka Rady Narodowej Województwa Warszawskiego od 1947 r. aż po wybranie go jako posła do Sejmu PRL na okres 1957—1965, czyli przez dwie kadencje. Był również przez 10 lat prezesem Towarzystwa Naukowego Płockiego oraz przewodniczącym Mazowieckiego Towarzystwa Kultury od 1966 do 1968 roku, czyli aż do swej przedwczesnej śmierci *).



Grupa uczestników konferencji Rady Naukowej Ekonomiczno-Technicznej WRN w marcu 1962 r. Drugi z prawej strony prof. Jan Olaf Chmielewski

Wymieniam tylko te jego funkcje społeczne, w czasie których stykałem się z nim mniej lub więcej bezpośrednio. Z Tadeuszem Gierzyńskim miałem ściślejsze kontakty, gdy byłem czynny w Radzie Naukowej Ekonomiczno-Technicznej Wojewody Warszawskiego, a on był posłem oraz przewodniczył paru stowarzyszeniom regionalnym. Wówczas patrzyłem na niego przede wszystkim jako na radnego i posła. Co więcej, korzystałem z jego praktyki i doświadczeń, gdy sam zostałem desygnowany na radnego wojewódzkiego. Był on starszy ode mnie o 5 lat, ale jakże bardziej doświadczony na tym właśnie odcinku pracy społecznej. Nie należał do tych, co na różnych zebraniach często zabierają głos. Częściej przemawiał na licznych komisjach radzieckich i sejmow-

wych, którym często przewodniczył. Większe znaczenie miał jego głos jako autora licznych ekspertyz, jako rozmówca w kularach lub na marginesie konferencji, czy sesji naukowych. Był tym społecznikiem, który prowadził swój własny, bardzo rozbudowany, tak zwany „referat spraw cudzych”. Podejmował liczne interwencje, dotyczące osób pokrzywdzonych. Świadczył przysługi i udzielał porad ludziom potrzebującym pomocy w sprawach doraźnych lub zasadniczych. W tym zakresie był znany jako istny tytan pracy nie efektownej, ale jakże często skutecznej i pożytecznej w zwykłych stosunkach międzyludzkich, opartych na prostej i szczerzej życzliwości. Jak dla Płocka wielce się on zasłużył, wystarczy wspomnieć, że to przecież Tadeusz Gierzyński walnie przyczynił się do lokalizacji właśnie w tym mieście Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych oraz zainicjował przebudowę płockiego Zamku Księżąt Mazowieckich na siedzibę Muzeum. Przeto słuszne jest zdanie, że on „jest na pewno człowiekiem, któremu Płock zawdzięcza więcej niż on swemu miastu”.

Kiedyś, po jednej naszej osobistej rozmowie, właśnie nad skarpą płocką, chciałem nawiązać z nim ściślejszy kontakt. Zamierzałem uaktywnić się w Mazowieckim Towarzystwie Kultury pod jego przewodnictwem, będąc członkiem Prezydium tego Towarzystwa. Lecz jednak przedwczesna jego śmierć stanęła brutalnie temu na przeszkodzie. Pozostał przeto Gierzyński dla mnie przede wszystkim jako mój szczyry rozmówca kiedyś tam u góry nad Wisłą.

Tak! Ani się nie spostrzegłem, jak zwabiony pięknem Niziny Mazowieckiej, znalazłem na niej spory zastęp ludzi w różny sposób bardzo mi bliskich. Bliskich nie tylko wspomnieniami z tej rozległej panoramy krajobrazu Mazowsza, ale również bliskich sposobem odczuwania świata w jego różnych relacjach i układach społecznych. Wśród przelotnych kontaktów z czasem dość przypadkowymi towarzyszami wycieczek, czy innych wyjazdów, są wszelako i relacje trwalsze, koleżeńskie a nawet prawdziwie przyjaźnie.

Jest przeto wielu takich, w rozmowie z którymi mogę powiedzieć:

— Pamiętasz ten dzień, w którym podziwialiśmy jakże urokliwie piękno widoku ze skarpy płockiej na Mazowsze?

Mogę tak zapytać i znaleźć pełne zrozumienie także i w innych sprawach.

*) K. Askanas: Tadeusz Gierzyński (1905—1968) w: „Rocznik Mazowiecki”, tom III, 1970, str. 351—358.